

Przylot do Taszkientu wiąże się z nieprzyzwoitym obżarstwem, do którego skłaniają swoich klientów tureckie linie lotnicze oraz z nocą skróconą przez lot 'ku wschodniej stronie'. Ląduje się więc w stanie przejeżdżonym i niewyspanym, o tak zwanym bladym świecie. Gdy autobus przewiezie pasażerów z samolotu do budynku terminala zrywają się oni do kłusu, przechodzącego w galop, aby uzyskać dobre lokaty w kolejce do kontroli paszportowej. Następnym elementem powitania z Uzbekistanem jest kolejka do odprawy celnej, która jest obowiązkowa dla wszystkich przybywających. Główną masę przybywającą stanowią zresztą babule w wieku lat 30 do 130, wyposażone w co najmniej kilkanaście toreb, paczek, waliz i pakunków. Taki bagaż, ułożony na lotniskowym wózku, w rękach sprawnej podróżniczki stanowi niezawodny taran, używany do szturmowania kolejek i wywracania wózków konkurencji. Kluczowymi elementami naszego sukcesu było uprzednie wydrukowanie sobie deklaracji celnej z internetu (w ten sposób nie tracimy czasu na wypełnianie jej na lotnisku) oraz podróżowanie biznesem (w ten sposób nasz bagaż wyjeżdża pierwszy na karuzelę).

Gdy już wyjdziemy z lotniska, uzyskując wszelkie rozgrzeszenia, należy dołożyć starań, aby ich nie utracić. Kopię deklaracji celnej trzeba mieć ze sobą cały czas, a zwłaszcza przy wylocie, albowiem nie można więcej dobra wywieźć niż się przywiozło. Trzeba też zbierać tzw. registracje, czyli potwierdzenia noclegów z hoteli, aby się nimi wylegitymować na koniec. Tłumaczyli mi, że to szykana nie na turystów, tylko na nieuczciwych hotelarzy, którzy nocują gości na lewo i nie odprowadzają od tego podatków, ale średnio mi się chciało w to wierzyć.

Taszkient, zwłaszcza w kontraście z niedawno odwiedzionymi Indiami, jest sterylnie czysty. Zresztą, co tam porównywać z Indiami: jak na polskie standardy jest zdumiewająco czysto. Przejścia podziemne w Warszawie pokonuję na bezdechu, bo wiem, że śmierdzi co najmniej szczyną, w Taszkencie można w tych miejscach oddychać swobodnie (a niewykluczone, że i jeść, być może nawet z posadzki). Oprócz tego, że na ulicach, na chodnikach, i w parkach nie ma papierków, petów, opakowań plastikowych, ludność chodzi ubrana schludnie, panowie najczęściej pod krawatami, wszyscy w wyczyszczonych do połysku butach. Taszkient jest bardzo zielony, wynika to po części z tego, że po trzęsieniu ziemi z 1966 został odbudowany z pewnym zapasem przestrzennym - bardzo szerokie ulice i mnóstwo zieleni. Przekwitają tulipany i magnolie. W pełni kwitnienia judaszowce i bzy. Zapach świeżo skoszonej trawy.

Niewiele jest w centrum budynków sprzed trzęsienia ziemi, najważniejsze to opera i pałac Romanowów. Widzi się dużo milicjantów, sprawdzają, na przykład wchodzących do metra (pod kątem bagażu). Metro, jak w całym byłym ZSRR bardzo głębokie, stacje bogato dekorowane (trochę tak, jak w Moskwie), czego fotografować nie wolno, gdyż uważa się metro za obiekt strategiczny. W ogóle trzeba bardzo

uważać z fotografiami, żeby nie było w kadrze mundurowych, obiektów wojskowych, budynków rządowych, samolotów czy pociągów. W zasadzie nie wiadomo, dlaczego tak jest - współczesnemu Uzbekistanowi nikt nie zagraża. Z tą nadmierną milicyjnością chodzi pewno też o ograniczanie bezrobocia, bo przynajmniej ludzie mają jakieś zajęcie. I mundury kroju ogólnie postradzieckiego z czapkami - lotniskowcami.

Sumy podaje się w somach. Jeden dolar amerykański to na czarnym rynku około sześciu tysięcy somów (oficjalnie połowa tego). Największy banknot to pięć tysięcy somów, choć najczęściej spotyka się te jednotysięczne (sto dolarów w tysiącsomówkach to około półtora kilograma banknotów). Pytałem, czemu nie zrobili sobie denominacji - mówią, że dla bezpieczeństwa, komu by się chciało podrabiać banknoty o tak znikomej wartości. Więc trzeba mieć ze sobą dolary, które sukcesywnie wymienia się na somy. Bankomaty jakieś istnieją po bankach i po lepszych hotelach, ale albo są zepsute, albo czynne, lecz puste - tzn. bez pieniędzy w środku.

Tyle wrażeń z pierwszego dnia - wieczorem poszliśmy do opery (bilety mieliśmy kupione na *L'elisir d'amore*). Przyszliśmy, siadamy, orkiestra zaczęła grać, po kilka taktach mówię do Doroty - 'słuchaj, coś zmienili?'. "Strój skrzypiec" - odpowiada Moja Ślubna. Miała rację, ale i repertuar się zmienił, bo ansambl GABT (Gossudarstwienny Akademiceskij Bolszoj Teatr) wykonał dla odmiany *Traviatę*. Z napojem miłosnym luźny związek przez brindisi z pierwszego aktu. No, wzięli nas z zaskoczenia.

Smutne jest to, że na widowni może osób w porywach ze czterdzieści, z czego większość innostrańcy i koledzy muzyków. Całkiem sporo dzieci, które z trudem chyba przykładały swój aparat pojęciowy do akcji scenicznej - ani włoskiego nie znają, ani w burdelu nie były... A to przecież sobotni wieczór - jak jest w tygodniu, trudno sobie wyobrazić nawet. Budynek w stylu modernistyczno - orientalnym, wybudowany w latach 1945-47 przez japońskich jeńców wojennych (każdy naród ma swój most na rzece Kwai), ostatnio wyremontowany.

Oprócz fałszujących smyczków, pani dyrygent miała kłopot z zapanowaniem nad proporcjami brzmieniowymi orkiestry - cały pierwszy akt brzmiał, jakby był wykonywany przez podchmieloną orkiestrę strażacką (bo nie było słychać niczego oprócz dętych), później było trochę lepiej, ale tylko trochę. Poza tym tempa były pośpieszne, co nie pomagało ani orkiestrze, ani solistom. Dobrze brzmiał za to chór, słychać, że ktoś tam z nimi pracuje i nie bierze wypłaty za darmo.

Koncepcje Regietheater nie przekroczyły dotąd linii Bugu, więc inscenizacja była taka, jak zapisane w librecie i didaskaliach - ogólnoużytkowa scenografia a'la XIX

wiek, która zapewne obsługuje tam kilkanaście innych spektakli (*Barona cygańskiego*, *Księżniczkę czardasza*, *Dziadka do orzechów*, niewykluczone, że i *Eugeniusza Oniegina* oraz ten nieszczęsny *Napój miłosny*). Reżyseria też dość zachowawcza, ale niekiedy niespodziewane smaczki wynikające z dostępnej obsady: Georgio Germont wyglądał na brata (i to młodszego) Alfreda.

Pan Uzbek wykonujący rolę Alfreda był najjaśniejszym elementem obsady - swoboda głosowa i sceniczna, prezencja - myślę, że każdy polski teatr operowy zatrudniłby go z pocałowaniem ręki. Pani Violetta to dość ciekawy przypadek - głos tzw. subretkowy, zupełnie nieodpowiedni do roli (to już Flora Bervoix miała lepsze warunki do roli Violetty), problemy z dykcją (jako się rzekło, tempa nie pomagały) no i pewne trudności z produkowaniem czystych wysokich dźwięków. Ale artystka się tym nie przejmowała i dość śmiało je atakowała, zupełnie nieświadoma efektów. Reszta obsady na poziomie przyzwoitego domu kultury, zwracał uwagę połyskliwy ząb złoty u doktora Grenvila.

Ciąg dalszy nastąpi. Jutro dalej Taszkient, a wieczorem lecimy do Urgenczu i dalej samochodem, do Chiwy.